

Marcin Kafar

O odchodzeniu najbliższych. Przyczynek do antropologii osobistej

Pamięci Babci i Taty

Czy kiedykolwiek jest się naprawdę przygotowanym, by mówić o odchodzeniu najbliższych? Co musi się stać, aby wiersze wypełniły się słowami wykraczającymi poza banalność, wchodzącymi w pole pełnych relacji – relacji *w-pełni-ludzkich*? Co wreszcie stać się musi, aby owe – jedyne godne poważnej uwagi (?) – relacje *prze-kroczyć*, szukając przesmyku prowadzącego ku granicy człowieczego bytu, gdzie praca zmysłów zastąpiona zostaje błyskiem nadziei na *nieśmiertelne*? Czy wystarczy mocno wsłuchać się w głos samego siebie, w głos dobywający się z trzewi skręcających się z bólu-cierpienia, niczym schody Eschera? Czy trzeba czegoś *ponad*, działającego na to, co *pod*, dającego tylko pozornie niemożliwą do wyobrażenia siłę *trwania*?

W drodze z Krakowa do Łodzi, w pokonferencyjnej dyskusji o *zaangażowanej antropologii* rzekł kolego-poeto, że śmierć osoby, z którą łączy nas źródło *toż-samej* krwi, powinna pozostać tajemnicą. Tym sposobem dyskretnie starałeś się łagodzić me zapędy, idące ku usilnemu zrozumieniu czegoś, co jeszcze się nie dopełniło...

*

Od tej chwili minęło zaledwie półtora miesiąca, a ja w tym czasie straciłem dwie ukochane osoby...

*

Wczoraj wieczorem w ekran telefonu wstukałem następujący komunikat: „Dziś nie mogę pisać o niczym innym poza Śmiercią...”; chwila zawieszenia, katatonicznej pustki wyrrywającej mnie na kilka sekund z realnego świata, a po niej kolejny SMS: „Ale czy powinienem??”. Magia współczesnej techniki! Fale radio- we w mgnieniu oka chwytające wiadomości i rzucające je w eter. Te docierają do

adresata i wracają do nadawcy z trzema kropkami, i z... kolejnym znakiem zapytania... Tak, wiem, tylko ja jestem zdolny znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie...

A więc mogę milczeć, pogrążając się w bezdennym żalu, kryjąc się pod osłoną „bezpiecznej” wielkowiejskiej anonimowości, mogę łkać, wędrując zaciemnionymi ulicami w okolicach cmentarza żydowskiego... Ale mogę też uchylić rąbka swej rozpaczy przed Innymi, licząc na wrażliwość tychże oraz... Ich pragnienie¹ *bycia z Drugim*, bo wówczas – *w-ów-czas*, czyli W Czas Wielkiej Próby – jedynie poczucie Ich i Jego *bezpośredniej obecności* jest w stanie nadać sens człowieczemu jestestwu...

Długo się waham, poddaję pod rozwagę wszystkie „za” i „przeciw”, skrupulatnie, z wręcz aptekarską dokładnością, mierzę potencjalne straty i zyski. Wreszcie decyduję się poszukać wsparcia w doświadczeniu mi bliskim, stawiając – za przykładem tych, co już dużo wcześniej znaleźli w sobie po temu dość odwagi – na otwartość i dialogiczność, dwie rzeczy skutecznie przełamujące rodzące się w człowieku w chwilach kryzysów monadyczne zakusy. „W dialogu, zawsze w dialogu...” – powtarzam w duchu za Martinem Buberem, czyniąc takie oto postanowienie: niech zatem spletną się biografie, niech razem stworzą *wspólnotowy warkocz przeżycia Śmierci...*

Arthur P. Bochner pisze: „Siedzę na podłodze za łóżkiem Mamy. Trzymam ją za rękę, zapatrzone w oczy obdarzające przenikliwym spojrzeniem, które nie zbacza ze mnie ani na chwilę. To już 20 dni, odkąd Mama trwa w zawieszeniu. »Myślę, że ona potrzebuje pana zgody na to, by umrzeć« – powiedziała wczoraj pielęgniarka w hospicjum. Początkowo przypominało to nic nieznaczące »psychobablania«, ale później uświadomiłem sobie, że ja wciąż kurczowo trzymam się Mamy. Przy Niej nauczyłem się być w ciszy. Kiedy karmię Ją, dotykam i głaszczę, krąży we mnie ciepło, jakiego nie czułem nigdy dotąd. Czuję się potrzebny. Jej oczy mówią, że kocha, że chce, abym tu był. Nie wygląda na złęknioną, jak wówczas gdy pierwszej nocy zostawiłem Ją samą. Mięśnie Jej twarzy są rozluźnione. Dziś jest tak, jak gdyby czuła się tutaj – po raz pierwszy – u siebie w domu. Zanurzony w ciszy nicowanej naszym wzrokowym kontaktem pojąłem, iż bez

¹ Józef Tischner – nawiązując do myśli Emmanuela Lévinasa – mówi o „pragnieniu”, że „jest jakby odwróceniem tęsknoty. Tęsknota kieruje się w przeszłość, pragnienie zmierza w przyszłość, a może jeszcze dalej – ku samej wieczności. Pragnienie i tęsknota jednakowo wyrastają z teraźniejszości i jednakowo są protestem przeciwko niej. Łączy je przekonanie, że to, co prawdziwe, jest nieobecne. Tęsknota zna jednak dobrze kraje, do których tęskni, stąd wzywa ona człowieka do powrotu. To tęsknota kierowała krokami Odysa, gdy wracał do Itaki. Pragnienie nie zna swego domu, ono nigdy nie wraca, jest skazane na porzucanie każdej przeszłości i każdej teraźniejszości”. *Idem, Filozofia dramatu*, Kraków 2006, s. 29.

milczenia, słowa pozbawione są znaczeń; bez słuchania, mówienie traci zdolność uzdrawiania; bez empatii, lęk staje się nie do poskromienia.

Gdy ponownie patrzę w oczy Mamy zdaje mi się, iż Jej tępe wpatrywanie się znika. Mimo demencji Ona wie, że jestem. Czuję to. Widzę. Wiem. Jak mógłbym pozwolić Jej odejść właśnie teraz, gdy minęło mnóstwo czasu od momentu odczuwania Jej obecności.

[...] Klęczę przy Mamie, z głową spoczywającą na Jej ramieniu... Ni stąd, ni zowąd orientuję się, że minęło kilkanaście godzin naszego łączenia się w ciszy. Patrzę Jej w oczy, będąc przekonanym, iż słucha. Powstrzymując łzy, oczyszczam gardło. »Mamo, myślę, że nadszedł czas, by odejść. Nie ma już dla Ciebie życia. Będę za Tobą tęsknił, Mamo. Bardzo Cię kocham i jestem Ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Mel, Reeta i ja jesteśmy bliżej siebie niż kiedykolwiek przedtem, i jesteśmy szczęśliwi zarówno w naszych małżeństwach, jak i w tym, co robimy. Nie musisz się o nas martwić. Bez wątpienia poradzimy sobie. Kocham Cię, Mamo«. Całuję Mamę w usta oraz w czoło, i wychodzę. Nie mówię tylko – jak zwykle – »Do zobaczenia jutro«.

*

Mama umiera następnego dnia².

[30.10.2008, pokój Babci]

Robię zapiski na tym, co akurat mam pod ręką, czyli – o ironio! – na odwrocie kartki z zaproszeniem do wzięcia przeze mnie udziału w projekcie zatytułowanym „Doświadczenie choroby w perspektywie badań interdyscyplinarnych”.

Czym jest doświadczenie? Czym jest choroba?

Tego wieczoru jest Twarzą, na której płoną żywe ogniki substytucji...

Wierzę w to!

Jej Twarzą...

W okolicach ust wykrzywioną nagłym skurczem,

Ileż cierpi!

Lecz nie narzeka,

Ni słowem,

Przez całe życie,

Godnie,

Godnie do końca,

Już nie wstaje...

² A.P. Bochner, *Love Survives*, „Qualitative Inquiry” 2002, t. 8, nr 2, s. 167–168 (tłum. M.K.).

Starasz się racjonalnie gospodarować siłami. To dziwna ekonomia. Długo zbierasz ślinę w ustach, a potem opróżniasz je, sięgając po plastikowy kubek, który – ani za wysoki, ani za niski – mieści się we wnęce Twego łóżka. W południe opowiadałaś mi historię o tym, jak to Dziadek pojechał do pracy w Lewinie Brzeskim, a wy „z paroletnią Ircią”, chcąc „zaoszczędzić jak najwięcej grosza na kupno działki pod budowę domu, dzień w dzień jadłyście barszcz buraczany”. Po miesiącach ciężkiej „harówki” i wielu wyrzeczeń na własnym ciele, dopięłaś swego [*Czy Twoje ciało przypadkiem nie odplaca Ci za tamtą (zbytnią?) surowość wobec niego? O Niewdzięczne!*].

Mdle światelko od zmierrchu do świtu sączy się z lampki ustawionej w kącie za komodą. Mówisz, że „najgorsze są noce”. Zerkam na zegar wiszący na ścianie. Wskazuje 21.10. Słyszę dobiegające zza ściany lekkie pochrapywanie Mamy. Myślę, że jest skrajnie zmęczona. Od kilku tygodni tak dla Niej, jak i dla Taty dni są takie same. Pobudka na zawołanie: „Irciu, Irciu...”, „Heniu, Heniu...”, „siku...”, „muszę się załatwić...”, „pić...”, „Irciu, Irciu...”, „Heniu, Heniu...”. *Po-święcenie? Zobo-wiązanie*³? *MIŁOŚĆ*... Gdzie jest jej granica? Czy można się w niej zatracić na podobieństwo młodzieńczych afektów?

Gdy rankiem zaszedłem do Ciebie, byłaś całkiem przytomna. I tylko ten nietypowy mebel – krzesło nieprzystające do pozostałych krzesel – wzbudził mą konsternację. Krzesło-przenośny sedes. Czegóż to ludzie nie wymyślą, i... czegóż nie przewidzą. Rak – Alzheimer, pobratymcy paktujący skrycie z Ostateczną Zasadą Demokracji, od której nijak niepodobna uciec, a i – tego właśnie uczysz mnie całą sobą – nie trzeba...

Zostaliśmy sami.

„Jezu! Przybądź mi z pomocą! Jezu! Przebacz mi! Jezu, ufam Tobie! Jezu! Zabierz mnie stąd!” – powtarzałaś niestrudzenie, na przemian to krzyżąc, to szepcząc śpiewnie słowa płynące ze źródła nadziei, niczym psalmista toczący z Nim rozmowę...

[Z głębokości wołam do Ciebie Panie,
o Panie, wysłuchaj głosu mego!
Nakłoń swoich uszu
ku głośnemu błaganu mojemu!
Jeśli zachowasz pamięć o grzechach, Panie,
Panie, któż się ostoi?
Ale Ty udzielasz przebaczenia,

³ I znowu za Tischnerem: „Inny człowiek jest obecny przy mnie poprzez to, co trzeba, abym dla niego uczynił; i ja jestem przy nim obecny poprzez to, co trzeba, aby on uczynił dla mnie. Więż, która między nami powstaje, jest więzią zobo-wiązania. Zobo-wiązanie, to wiązanie obowiązkiem. [...] Zobowiązania rodzą się w spotkaniu”. J. Tischner, *op. cit.*, s. 13.

aby Ci służono z bojaźnią.
W Panu pokładam nadzieję,
nadzieję żywi moja dusza,
czeka na Twe słowo.
Dusza moja oczekuje Pana
bardziej niż strażnicy świtu⁴.]

„Marcin, tyle lat się przeżyło razem, a teraz trzeba się rozstać...” – powiedziałaś, na co odrzekłem: „Ale przecież spotkamy się *tam*, z Dziadkiem...”, a Ty tonem, którego wcześniej u Ciebie nie znałem, ciągnęłaś dalej: „Wszyscy się spotkamy. Nie wiem, jak to będzie. Ksiądz Marcin mówił, że życie jest jak listek spadający z drzewa. Jak spadnie na ziemię, to zgnije... albo popłynie z wiatrem... kto wie... Lecz może właśnie to *ten* listek będzie wartościowy?”

Przyniosłem Ci do pokazania mój świeżo „sklejony” w sztywną okładkę doktorat. Wiesz, że pisałem w nim o Naszej Rodzinie. O Tobie i o Dziadku... Jego śmierci i Twej chorobie... Z wielkim zaciekawieniem oglądałaś umieszczone w pracy fotografie. Byłaś jedną z mych pierwszych recenzentek: „To ważne – mówiłaś – bo dziś się pamięta, ale jutro, co nie jest zapisane, zginie...”

Zapisuję.

Około 13.00 drżącą dłonią zdjęłaś z palca obrączkę i – za wszelką cenę próbując powstrzymać się od płaczu – wręczyłaś mi ją. Mocno przy tym nalegałaś: „Marcin weź. Ja już jej nie chcę. To był mój ciężar przez całe życie... teraz jestem wolna...”

Wierność aż do grobowej deski? Cóż znaczy w przypadku Waszego sakramentu? Przecież przez 21 lat po śmierci Dziadka wciąż nie przestałaś czuć się Jego żoną...

Znowu spoglądam na zegar ścienny – 21.20. Śpisz, trzymając w ręku nieodłączną szmatkę, która służy Ci do przecierania ust. Drugą rękę zaciskasz na metalowej nodze od krzesła-toalety: „Teraz to jest moje miejsce, widzisz na co mi przyszło, wnusiu?” – pytasz retorycznie...

Paul Auster wspomina: „Był taki okres w moim życiu, że wszystko po prostu się waliło. I wszystko było bolesne i chaotyczne. Byłem bez grosza przy duszy, moje małżeństwo rozpadło się. Dotychczas pisałem tylko wiersze, uważałem bowiem, że w liryce jestem dobry, w prozie zaś nie. Ale w tym właśnie okresie nie pisałem w ogóle. Nawet wierszy! Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie przyjaciel i zaprosił mnie na otwartą próbę generalną jakiejś grupy tanecznej na Manhatanie. Zmusiłem się, aby tam pójść. I byłem oczarowany! »Uwięziony« tym, co

⁴ Ps 130, 1–6. *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, wyd. V, Poznań 2005, s. 790.

tam zobaczyłem! Zobaczyłem, gdyż nie słyszeliśmy żadnej muzyki. Widzieliśmy tylko ciała w ruchu. Ciała poruszające się. Było to cudowne! Ale później choreograf zaczął coś tłumaczyć, dawać jakieś instrukcje, dzielić się swymi uwagami i... wszystkie jego słowa były niewystarczające, były jakby... »klęską«, jakimś totalnym »niepowodzeniem«. Tak to właśnie odczuwałem... Coś tam się stało! Wróciłem do domu, usiadłem do stołu i zacząłem pisać... prozą! Nazwałem to »coś« »White spaces«. W sobotę w nocy (po dwóch tygodniach pracy), około wpół do trzeciej rano, skończyłem pisać, kilka zaś godzin później zadzwonił telefon. Gdy ktoś dzwoni do ciebie w niedzielę o wpół do ósmej rano, to wiesz, że nie są to dobre wieści. Mój ojciec zmarł tej nocy. Pozostawił mi trochę pieniędzy. Niewiele, ale wystarczająco, abym mógł przez pewien czas poświęcić się wyłącznie pisaniu. Cała ta sekwencja prześladowuje mnie od dnia śmierci ojca, przychodzi do mnie, od czasu do czasu się pojawia. Ta jego śmierć tej właśnie nocy, to moje »narodzenie się« jako pisarza...»⁵.

[25.11.2008, godz. 4.30, moje mieszkanie]

Dzwoni telefon. To Mama: „Marcin, Babcia zmarła o 2.20” – mówi. Nastaje krótkotrwała cisza, którą przelamuje nagły szloch, dobywający się jednocześnie z obu stron słuchawki...

*

Otwieram komputer i wysyłam maile do bratnich mi dusz. Czy wolałbym z Wami rozmawiać twarzą w twarz?

[?]

Chcę mówić! Wyrzucić na zewnątrz grudki bóleści i prosić Was o...

Czy robię rzeczy irracjonalne? Pisanie porządkuje doświadczenie – to nie jest frazes, bynajmniej nie w chwili, gdy dowiadujesz się o śmierci najbliższej ci osoby, będąc samemu w bloku, w miejscu tak bardzo „komfortowym”, że po „zaledwie” sześciu latach (sic!) od zamieszkania w nim okazuje się (podczas przypadkowej, sąsiedzkiej pogawędki toczonej w windzie), iż oto za ścianą twego pokoju codzienną kąpiel bierze profesor nauk medycznych...

A spałem dziś – jak już dawno nie było mi to dane – wyjątkowo dobrze...

*

[kilka godzin później, pokój Babci]

⁵ Cytowany fragment wypowiedzi pochodzi z wywiadu zatytułowanego *Deconstructing Paul*; rozmowa z Paulem Austerem odbyła się 24 sierpnia 2002 r. w Sztokholmie, a przeprowadził ją Paul Vincent (tłum. z angielskiego na polski Paul Vincent; korekta pisowni polskiej: M.K.; dostęp: archiwum M.K.).

Uchyłam drzwi, zza których rozchodzi się po domu intensywny zapach prawdziwej, woskowej gromnicy. [*Widzę, że Twoja ukochana „Ircia” pięknie zadbała o światło dla Ciebie, Babciu, postarała się o to, abyś nie zblądziła w ciemności, byś trafiła tam bez przeszkód...*] – myśli szukają tematu, osiągając nieznaczną przewagę nad wzrokiem lecz... nie na długo...].

Jasnokremowe prześcieradło. Odślaniam je bardzo powoli, chcąc w ten sposób rozciągnąć moment *spotkania się z Tobą* – spokojną i wzniosłą, unaoczniającą mi *naszą Drogę...*

Bezwiednie padam na kolana i kryję głowę w ramionach. Trzymam Cię za chłodną rękę, wychyniętą spod zakietu wybranego przez Ciebie jako ten „najodpowiedniejszy” do Twojej ostatniej ziemskiej wędrówki...

[*„Babciu! Pragnęłaś odejść i tak się stało...*

Babciu! Czy na pewno jest Ci już dobrze???! To stamtąd będziesz się teraz martwić o obiad dla Erunia, o to, czy zjadłem na porę śniadanie, o mą pracę, o względny dostatek, o zgodę między nami wszystkimi...

Babciu! Już jesteś u Boga, w którego bezgranicznie wierzyłaś...

Babciu... Moja Kochana Babciu...

„Tak musi być, Marcin. Taka jest kolej rzeczy...” – mówiłaś, ja zaś – *zastuchany w Twą prostą, głęboką mądrość* – przytakiwałem na to ze zrozumieniem. *„Tak musi być, Babciu, tak po prostu musi być...”*. *Masz piękną chustkę, Babciu, na pewno w niej nie zmarzniesz...*].

Nasz pożegnalny pocałunek – złożony na Twym czole...

[*„Pamiętaj o mnie, proszę...”*].

Józef Szajna opowiada: „Ja miałem wszystkie [...] kategorie piekła Dantego w Oświęcimiu, od różnych komand, karnych kompanii, do dwukrotnego pobytu na bloku śmierci i w celach, i kiedy [...] byłem w tym świecie, który był wielkości dziewięćdziesięciu centymetrów na dziewięćdziesiąt centymetrów, a wysoki do głowy, [...] siedziałem tam dwa, trzy tygodnie, tak mniej więcej z mojego życiorysu wynika. Ja tam w tej pustce, w tym świecie metafizyki, w tym »nic« bunkra ciemnego byłem w niebie. Sam. Niezagrożony już, bez lęku i strachu, bo bez nadziei... i spokojny... i bezsilny... Nerwy, wrażliwość, wszystko, co jest zmysłowością ludzką, nie wchodzi w rachubę... Przejście materii w ducha, ten jakiś moment, to wtedy myślę, że odwołuję się do takiej najprostszej prawdy, i niech ona zostanie przy mnie jako moja prawda – do Matki, która tuż przed wojną zmarła, i ja byłem jedynym z pięciorga rodzeństwa nad Jej łóżem, i kiedy umierała nagle na wylew, widziała mnie i mówi: »Józku idź do szkoły, bo się spóźnisz«. Była za dziesięć ósma rano, a ja ciągle jakoś niespokojny ociągałem swoje wyjście, nie wiedziałem, kiedy mam wyjść z domu; »Idź – powtarza – do szkoły, bo się spóźnisz«. I z tymi słowami opadła i zwiśla jej głowa. I ja w tych momentach pomyślałem: »Matko,

jeżeli Ty mi dałaś życie, Ty jedna masz prawo mi je odebrać... Jak jesteś z tym zgodna, to się stanie«. I tak siedziałem. Jak mogłem się modlić do Boga, któremu chciałem spojrzeć w twarz, chciałem spojrzeć w oczy, i się nie pojawiał; »Boże.« – cisza, »Gdzie jesteś?« – cisza”⁶.

Babciu, Twoją chorobę, umieranie i śmierć potraktowałem – zgodnie z Twą cichą wolą – jak naturalną klamrę wieńczącą życie człowieka. Przeżyłaś 84 lata, lata pełne niezłomnego przekonania o własnej uczciwości i prawości. Babciu, kiedy w minionych tygodniach stawiałaś się dla mnie prawdziwym „pedagogiem cierpienia”, byłem pewien, że wreszcie do końca pojąłem to, na co długo czekałem – sens *ludzkiego odchodzenia*...

Potrzebowałem zgłębienia tegoż, jak leśna grzybnia potrzebuje wody. Szczególnie po stracie Dziadka, który nieomal bez słowa pożegnania odszedł od nas przed dwiema dekadami, i po moich antropologicznych, hospicyjno-domowych wędrówkach, w dużej mierze ciężących ku odgadnięciu istoty (Jego) Śmierci, sposób rozstania z Tobą budował oraz wzmacniał we mnie trwałe moralny fundament...

Nie miałem żadnych wątpliwości... przez miesiąc...

[Boże Narodzenie A.D. 2008, dom Rodziców]

Pierwsza wigilia bez fizycznej obecności Ciebie. Pusty talerz zostawiany zwykle – w zgodzie z tradycją – dla zbłąkanego człowieka, tym razem zyskał, przynajmniej dla mnie, jednoznaczny wymowę – to był Twój talerz.

Obudziłem Tatę po 23.00. Poszliśmy na Pasterkę. Mróz skrzypiał pod butami już w drodze do kościoła, więc idąc z powrotem, przyspieszyłem kroku. Tato „zamarudził” jeszcze z sąsiadem i został z tyłu dobre pięćdziesiąt metrów. Czekałem na Niego przy furtce, mimowolnie wsłuchując się w Jego pokasływanie, złowrogim pogłosem niosące się po pustej o tej porze ulicy. „Powinien się zbadać. Nie podoba mi się ten kaszel...” – jedynie pomyślałem, nic jednak nie mówiąc. Miałem zamiar zrobić to następnego dnia, ale myśl nieopatrznie umknęła w szarą strefę pamięci – przykryło ją wspólne popijanie złotego płynu...

*

Późnym popołudniem w drugi dzień Świąt Tata zatrzymał zegar, który zbyt głośno – jak na mój gust – bił kwadrans.

⁶ Transkrypcja dokonana na podstawie reportażu Alicji Grembowicz *Te-art Józefa Szajny*, wyemitowanego na antenie Programu Trzeciego Polskiego Radia 24.06.2008 r. (dostęp: archiwum PR). Warto zaznaczyć, że 24 czerwca 2008 r. był dniem śmierci Józefa Szajny.

*

[27 grudnia 2008, podwórko przy domu Rodziców]

Ty ponoć byłaś tam Tego dnia, więc jest mi trochę niezręcznie opowiadać Ci o tym, co się wydarzyło. Mama małego Erysia mówiła mu przecież, że „Babcia Mania stała za drzewem i zabrała Dziadka Henia do nieba...”.

„No, jeszcze tylko kilka” – powiedział Tato, opierając się o kolek podtrzymujący misternie rozplanowaną przez Niego konstrukcję z dębowych bali, po czym – wyraźnie zadowolony z efektu naszej pracy – dodał: „Musi być dokładnie i równo, musi być ładnie”. Spojrzałem na Tatę i dostrzegłem, że dzieje się z Nim coś dziwnego. Pochylił się do przodu i zaczął nierówno oddychać. „Odpocniemy” – rzekł i... bezwładnie upadł na ziemię.

„Tato! Tato! Tato! Nie rób nam tego!!” – krzychałem, biegnąc do domu i wołając do Mamy, żeby natychmiast wezwała pogotowie.

Gdy wróciłem, Tato leżał wstrząsany drgawkami. Miał nieprzytomne oczy i zsiadłe usta, był... był gdzieś daleko, gdzieś na granicy, gdzieś *poza tym światem*...

Rozpiąłem mu koszulę i nieporadnymi ruchami starałem się robić masaż serca. Bez skutku, także i wtedy, kiedy dołączyła do mnie Kasia i Mama [„*Dotrwaj, dotrwaj do ich przyjazdu! Nie rób nam tego! Tato! Tato! Nie umieraj! Proszę Cię!*”].

Trzymałem Go za nadgarstek i czułem słabnący z każdą sekundą puls...

CODA

François Chirpaz rzecze: „Kiedy człowiek poznaje całą prawdę o swoim położeniu, ogarnia go przerażenie niemające nic wspólnego z innymi ludzkimi lękami i obawami. Doświadczenie takie niszczy jego odporność, podważa dotychczasowe pewniki i zmusza do mówienia w sposób, na który dotąd się nie odważył. Hiob nie jest jedynie człowiekiem, który cierpi. Nieszczęście odebrało mu spokój wewnętrzny, o którym pouczała od dawna mądrość, zepchnęło na granicę, poza którą myśl na ogół nie wybiega, pokazało, co to znaczy naprawdę być człowiekiem, żyć w świecie, który go przerasta, być kruchym i nic nie znacząc wobec otaczającego ogromu, niezainteresowanego ani nim, ani jego nieszczęściem”⁷.

„Gdy chodzi o nieszczęście, księgi mądrościowe, w większości, są zadziwiająco oszczędne. Jakby jedynym ich celem było wyjaśnienie, na czym polega nieszczęście, zanim człowiek pozna jego rozmiary, a potem swoiste ubezpieczenie go przez nawoływanie do zachowania właściwej postawy w czasie próby. Księgi filozoficzne zawierają podobne przesłanie. W filozofii człowiek uświadamia sobie siebie w myśli i dzięki myśli. Lecz zdanie sobie sprawy w własnego istnienia to nie to samo co zrozumienie tego w chwili przeżywania nieszczęścia. Filozofia zajmuje się raczej możliwością zwrócenia się człowieka ku światu, poznania i zrozumie-

⁷ F. Chirpaz, *Księga Hioba. Poemat o nadziei*, tłum. A. Merdas, Poznań 1999, s. 9.

nia go. Jak gdyby człowiek mógł zrozumieć siebie jedynie wtedy, gdy posługuje się rozumem, gdy poznaje świat i jego zjawiska. Niestety, cierpienie znajdują się na marginesie zainteresowań, jak gdyby istniały jedynie na obrzeżach ludzkiej egzystencji”⁸.

A nasza *antropo-logia*? Czym ona powinna się zajmować, by czuć się prawdziwie *za-angażowaną*? Gdybym tylko miał możliwość wyboru, nie chciałbym znać odpowiedzi...

Summary

On losing my closests. A contribution to personal ethnography

The article – written in a form of a layered account – is an ethnographic document describing a particular existential situation of struggling with loss experienced by Marcin Kafar. Two liminal instants are taken into consideration, namely dying of the beloved Grandmother (suffering from cancer) and a sudden death of author’s Father. The author treats those unexceptional moments of his biography as a kind of The Life Trial that needs to be worked out in various psycho-spiritual dimensions. By bringing back a set of memories of care giving to his confined to bed Grandmother, Marcin Kafar shows a particular process of coming to enlightenment on what has a real value in his life and what has not. A literary device of speaking directly to the author’s Grandmother is used on this level of the text to feed and strengthen emotional bond that did not cease to exist in the time of physical death but is still continuing after it.

While Grandmother’s dying was able to be „tamed”, Father’s unexpected death caused in the author total emotional shock, challenging his previous seemed-to-be-sacred moral base and putting a question mark on his faith.

Another layer of the article includes some confessions made by well known artists and humanists e.g. Arthur P. Bochner, Józef Szajna and Paul Auster, all telling their own stories of losing the closest family members. Sharing stories of living through grief can, in Marcin Kafar’s opinion, heal ourselves as well as others, giving a human being a ground for understanding what is usually hard to conceive.

⁸ *Ibidem*, s. 8.